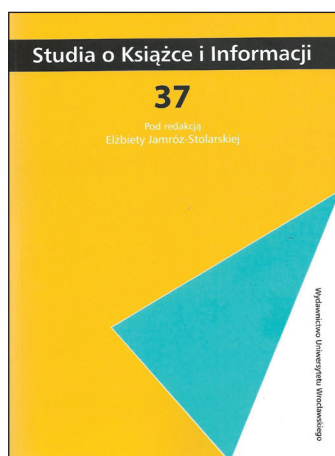


JACEK WOJCIECHOWSKI

„Studia o Książce i Informacji”, R. 37, 2018,  
red. Elżbieta Jamróż-Stolarska,  
Wrocław: Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego,  
s. 219, ISSN 0239-6661 (AUWr), 2300-7729 (SoKiI)



Resortowa lista naukowych czasopism punktowanych w obszarze bibliologii oraz informatologii podziałała jak gilotyna. Oto spośród 32 dotychczasowych tytułów punkty zostały przyznane (w najniższym wymiarze, z wyjątkiem jednego rocznika) – a więc także dotacje oraz preferencje – 7 periodykom, z czego 5 to roczniki. Dla obu (sub)dyscyplin to jest śmiertelne zagrożenie i trzeba na wszystkie możliwe sposoby zabiegać o przetrwanie w konfiguracji szerszej. Wymaga to jednak starań i pomysłowości, a przede wszystkim: wysokiego poziomu merytorycznego czasopism egzystujących. A z tym bywa różnie.

Oto wydawany przez ośrodek wrocławski, niepunktowany już rocznik „Studia o Książce i Informacji”, tom 37 z 2018 roku. Niestety – daleki od oczekiwań – w przeciwieństwie do znakomitej ostatniej edycji (nr 62) „Roczników Bibliotecznych”, wydawanych tamże. Środowisko w zasadzie to samo, ale poziomy nierówne.

Wcześniej (1970–1993) wrocławskie „Studia o Książce i Informacji” miały opinię czasopisma elitarnego, lecz to było dawno. Periodyk obecny – pod zmienioną nazwą przyznający się zresztą do pokrewieństwa (dlaczego?) z innym tamtejszym, dawnym czasopismem „Bibliotekoznawstwo” – nie wykracza ponad przeciętność, a nawet chwilami od niej odstaje. Prawie połowę zawartości ostatniego numeru – tak mi się wydaje – można było sobie darować. No i na przyszłość to jest prognostyk niepokojący.

W sygnalizowanym tomie zdecydowanie najlepsze są dwie wypowiedzi retrospektywne. Zwraca uwagę zwłaszcza znakomity i bardzo ważny

tekst **Anny Grucy** o dramatycznej rywalizacji stowarzyszeń świeckich oraz okołokościelnych w zakresie wdrażania i promocji u nas czytelnictwa na przełomie XIX i XX stulecia. Wbrew ulizanemu wizerunkowi, jaki się rozpowszechnił, miała wtedy miejsce ostra i bezwzględna rywalizacja pomiędzy tymi dwiema kategoriami zrzeszeń, przede wszystkim o charakterze światopoglądowym oraz ideologicznym: to była walka o dusze, a nie o czytelnictwo. Alfabetyzacja jako zadanie zesła wyraźnie na drugi plan. O czym nie pisze się u nas prawie wcale. Dlatego na spostrzeżenia Anny Grucy trzeba koniecznie zwrócić uwagę. Dają one bowiem dużo do myślenia oraz wiele wyjaśniają.

Podobna konfliktowa sytuacja od dawna miała wówczas miejsce na (dzisiejszych) ziemiach ukraińskich<sup>1</sup>. Efekt tego był taki, że aż do połowy XX wieku utrzymał się tu i tam katastrofalnie wysoki poziom analfabetyzmu. Mimo że mieliśmy już wtedy, jakby dla kontrastu, dwóch laureatów Literackiej Nagrody Nobla.

Zupełnie inaczej niż w Czechach, a nawet w całej późniejszej Czechosłowacji, pomimo wielkiego zróżnicowania narodowościowego oraz wspólnej z nami, okresowo i częściowo, austrowęgierskiej proveniencji. Tam obeszło się bez światopoglądowej szermierki i już w okresie międzywojennym stan tamtejszego czytelnictwa był wysoki<sup>2</sup>. W konsekwencji: nadal jest **radykałnie** wyższy niż u nas – nie tylko (zdecydowanie) w Czechach, lecz również na Słowacji.

A oto inna ciekawa reminiscencja z przeszłości. Na zjeździe bibliofilów we Lwowie w 1928 roku Emil Zegadłowicz wygłosił apologię artystycznego drukarstwa oraz pochwałę pięknej edytorsko książki, jako *fizycznego* wytworu sztuki – z dopowiedzeniem, że koniecznie polskiego. Zegadłowicz był nie tylko oryginalnym pisarzem i znawcą literatury, ale również ekspertem w obszarze (mówiąc po dzisiejszemu) sztuk wizualnych, więc dobrze wiedział, o czym mówi.

Tekst tej wypowiedzi – *Gawęda poety z typografem*, Poznań 1929 – wydał następnie w formie broszury poznański edytor Jan Kuglin. Była to edycja ze wszech miar niezwykła, pomysłowo nafaszerowana różnymi drukarskimi atrakcjami (specjalny układ druku, kolofon, sygnet wydawniczy) i forma wspaniale przystawała do treści. Przed laty pokazała mi tę książkę prawnuczka Zegadłowicza (dziś już nieżyjąca), Marysia Ziemianin, i muszę potwierdzić, że był to i jest wydawniczo-autorski

<sup>1</sup> O. Sedliar, *Działalność wydawnicza i publikacje Towarzystwa im. Michałja Kaczkowskiego w latach 1875–1885 – ujęcie ogólne*, „Biblioteka” 2018, nr 22, s. 87–106.

<sup>2</sup> G. Nieć, *Książka – Naród – Państwo. Czechosłowacka ustawa o bibliotekach publicznych z 1919 roku*, „Przegląd Biblioteczny” 2019, nr 2, s. 133–152.

majstersztyk. W roczniku bardzo zgrabnie i frapująco napisała o tym **Katarzyna Krzak-Weiss**, zrećcznie dopełniając swoje *sprawozdanie* ilustracjami. Okazuje się, że nawet o książce jako o przedmiocie można wypowiedzieć się bardzo ciekawie.

Poza tym interesujący wydał mi się dwugłos na temat interaktywnych książek oraz semi-książek dla dzieci, które w Polsce mają (na razie?) wzięcie ograniczone. Niewiele wiadomo o ich funkcjonowaniu. Literatura przedmiotu jest bowiem skromna – zresztą nie tylko u nas – toteż każdy rozsądny głos na ten temat jest ważny. A już inna sprawa, że o późniejszych efektach korzystania przez dzieci z tych interaktywnych narzędzi będzie wiadomo więcej dopiero za 15–20 lat, kiedy dzisiejsze dzieci dorosną.

**Alicja Urban** wylicza najważniejsze cechy interaktywnych książek dla dzieci. To po pierwsze wielosemiotyczny charakter – chociaż w znacznym stopniu powiązany z technologią – czyli nastawienie na oddziaływanie wielozmysłowe oraz właśnie interaktywność. Oparta na wykonywaniu wskazówek, rysowaniu, dopełnianiu fabuły i w sumie skierowująca ku własnej interpretacji odbiorcy. Natomiast nigdzie nie ma wzmianki, że to narusza skupienie, rozprasza: o tym wszyscy komentatorzy *zapominają*, sądząc że potrzebna jest bezkrytyczna apologia. W wersji *light*, dla małych dzieci, funkcjonuje też uproszczona książka-zabawka.

Natomiast o książkopodobnej aplikacji komputerowej dla dzieci wypowiada się **Paulina Sabat**, podkreślając również interaktywność tej formy oraz jej charakter hybrydowy, czyli powiązanie (możliwie integralne) tekstu pisemnego z innymi wariantami wypowiedzi. Zdaniem Autorki jest to narzędzie skuteczne, ale pod warunkiem, że oferuje frapującą treść. A jedną z zalet ma być operowanie językiem innym niż domowo-rodzinny: to wzbogaca. Z tym można się zgodzić, natomiast nie do przyjęcia jest autorska maniera pisania bezosobowego: *uznano, wspomniano*.

Opinie obu autorek na temat komunikatorów, nazwanych interaktywnymi, z całą pewnością wymagają uwagi, ale także poszerzającego i weryfikującego dopowiedzenia. Nawet jeżeli na razie nie są to w Polsce narzędzia rozlegle wykorzystywane. Za chwilę bowiem może być inaczej. A to przecież jeden z wariantów – jakkolwiek z całą pewnością nie jedyny – wdrażania dzieci do postaw i zachowań kreatywnych, zarówno w komunikacji, jak i poza komunikacją. To zaś należy przecież do głównych zadań bibliotecznej działalności.

Nie zamiast narzędzi piśmienniczo-czytelniczych, lecz oprócz i obok; równolegle. W wypowiedziach na ten temat wszyscy zresztą popełniają ten sam elementarny błąd, utożsamiając interaktywną inspirację

wyłącznie z aparaturą technologiczną i sprowadzając ją do reakcji fizyczno-manualnych (zrób, wykonaj itd.). To nonsens! Każda forma odbioru treści, także z tekstu pisemnego, jest z natury interaktywna, tyle że wewnętrznie. Wymusza wszak *jakiś* zrozumienie, czyli *jakaś* interpretację, zatem **własną kreację** sensu. Narzędzia, kojarzone z technologią, również mogą temu sprzyjać, tyle że na swój sposób: inaczej. Jeżeli więc **równolegle** wprowadza się dzieci w świat komunikacji za pośrednictwem piśmiennictwa oraz komunikatów medialnych, to efekty są lub mogą być bogatsze. Do tego zatem trzeba właśnie dążyć.

Co więcej: wśród inspiracji ze strony interaktywnych komunikatów w mediach elektronicznych powinny znaleźć się dyrektywy reakcji również... pisemnych. Więc nie tylko *dopowiedz*, *narysuj*, *wykonaj*, ale także *napisz*. Jak bowiem podpowiada światowej sławy psycholog, profesor Paul Silvia, właśnie pisanie jest najlepszym inspiratorem kreatywnego myślenia oraz konstruktorem indywidualnej wiedzy i katalizatorem rozwoju inteligencji<sup>3</sup>.

Otóż biblioteki, szkolne lub publiczne, najlepiej nadają się do takiego właśnie kilkupościowego przysposobienia komunikacyjnego, na poziomie wstępnym oraz zaawansowanym. Jednak – o ile zdołają nakłonić najmłodszych i ciut starszych użytkowników do korzystania z materiałów zarówno drukowanych, jak też powiązanych z elektroniką. Inspiracja postaw kreatywnych wymaga przy tym wprzęgnięcia w interesującą problematykę, zaangażowania w rejestry trudnych, ale ważnych pytań oraz w odbiorczo-konstrukttywne przedsięwzięcia grupowe. Z uwolnieniem natomiast od współzawodnictwa, nagród, ocen i zwłaszcza od rygorystycznego nadzoru<sup>4</sup>.

W warunkach szkolnych wydaje się to mało realne. W bibliotekach natomiast jest to możliwe. Jeżeli się o tym wie i potrafi odpowiednio postępować. To **wyzwanie!**

Do tego ewentualnego *potrafienia* częściowo odnosi się tekst **Doroty Grabowskiej**, traktujący o sytuacji bibliotekarzy szkolnych oraz nauczycieli bibliotekarzy w powojennej Polsce. Trafnie sygnalizujący kompletny chaos regulacyjny i brak rozumnej, a ciągłej koncepcji w tym zakresie. Ale wypowiedź jest nadmiernie ogólnikowa.

Zabrakło konkretów, szczególnie wyjaśniających, co przyniósł bibliotekarzom szkolnym **status** pedagoga z 1957 roku, a co – nauczyciela

<sup>3</sup> P.J. Silvia, *Creativity is undefinable, controllable and everywhere*, w: *The nature of human creativity*, Cambridge 2018, s. 291, 295, 298.

<sup>4</sup> B.A. Hennessey, *I never intended to be a research psychologist*, w: *The nature of human creativity*, Cambridge 2018, s. 111, 116.

bibliotekarza z 1973 roku. Przydałby się też pogłębiony komentarz na temat szkolno-bibliotecznego przysposobienia czytelniczego (z zakwestionowaniem obiegujowej lawiny banialuków), nauczania zintegrowanego i jeszcze ścieżek edukacyjnych. Sam, trafny zresztą i czytelny, sygnał, że to nie funkcjonowało i nie funkcjonuje jak należy, to jednak za mało.

Poza tym, w takich okolicznościach, trzeba wyraźnie rozróżnić, co ma (powinno mieć) miejsce w klasach, a co dzieje się (powinno) w bibliotekach. Opinie psychologów sugerują bowiem, że klasa szkolna jako taka zabija kreatywność i motywację<sup>5</sup>. A z kolei wśród bibliotekarzy kiełkuje nadzieja, że w bibliotekach, nawet szkolnych, niekoniecznie tak jest. To wymaga zatem (przynajmniej) namysłu.

W sygnalizowanym tekście – nigdy nie zrozumieję po co – pojawiła się poza tym opinia, że w powojennej Polsce do bibliotek szkolnych trafiały głównie przekłady sowieckie. To wyszana z palca nieprawda: nie ma takich statystyk. Chodziłem wtedy do szkoły i frontowy regał szkolnej biblioteki w całości zajmował Józef Ignacy Kraszewski, wydawany przez Komitet Upowszechniania Książki.

W pobliski obszar bibliotekarstwa pedagogicznego zagłębiły się **Mariola Antczak** oraz **Monika Wachowicz**, próbując zrekapitulować opinie, czemu biblioteki pedagogiczne mają służyć. Próba nie jest jednak w pełni udana, bo podobnych wypowiedzi było już niemało i w tym kolejnym odgrzaniu trudno doszukać się nowości. Także dlatego, że nie ma odwołań do wypowiedzi dawniejszych<sup>6</sup>, a to jednak one pełniej charakteryzują te biblioteki. Z prostego powodu: to był dla bibliotek pedagogicznych stosunkowo najlepszy czas. Także w tym wypadku mankamentem tekstu jest bezosobowa stylistyka: *ustalono, wykonano...*

Przed wszystkim jednak zabrakło odniesień do dramatycznej **obecnie** sytuacji tych bibliotek, które – procentowo – są teraz najintensywniej likwidowane. Nie ma również ani słowa, że taka kategoria bibliotek nie istnieje nigdzie, poza Polską i krajami postsowieckimi. A wszystkie te okoliczności razem wzięte wróżą fatalnie tym bibliotekom.

Autorki zajęły się głównie funkcjami bibliotek pedagogicznych (co ma sens, dopóki istnieją), jednak niepotrzebnie wdając się w dyskusje terminologiczne. W polskim języku bowiem określenie *funkcja* jest i będzie wieloznaczne. Oznacza już to obowiązki albo zadania, ale także role. Tak jest nie od wczoraj, nie zanoszą się na zmiany, toteż szkoda czasu na tego rodzaju spór.

---

<sup>5</sup> Ibidem, s. 110.

<sup>6</sup> Np. *Bibliotekarstwo*, wyd. 2, Warszawa 1998, s. 23–24; M. Drzewiecki, *Biblioteki szkolne i pedagogiczne w Polsce*, Warszawa 1991.

W tekście został przedstawiony katalog – że użyję takiego zwrotu – **powinności bibliotek pedagogicznych**. Moim zdaniem, akceptowalny. W dodatku doposażony w trafną uwagę, że nie jest zamknięty.

Natomiast brakuje dopowiedzenia, że w niemałym stopniu już niewykonalny. Opieka bowiem nad bibliotekami szkolnymi ma miejsce jedynie tu i ówdzie, a zadanie integrowania środowisk nauczycielskich nigdy nie doczekało się realizacji. Było i pozostało życzeniem.

Obecnie fundamentalny problem polskiego bibliotekarstwa pedagogicznego zawiera się w dramatycznym pytaniu: **jak przetrwać i po co**. Ten tekst jednak do tego nie nawiązuje.

W piśmiennictwie bibliologicznym produktywnie wypowiedzi praktyków pojawiają się rzadko. Zwłaszcza poparte dobrą znajomością koncepcji i literatury przedmiotu oraz zmierzające do konkluzji uogólniających. To słabość bardzo poważna, dlatego trzeba cenić każdy rozumny głos praktyka, wywodzący się od praktyki. Otóż w tym roczniku zwraca uwagę interesujący tekst, właśnie od-praktyczny **Bernadetty Gągulskiej**, konfrontujący teoretyczne reguły gromadzenia czasopism naukowych w bibliotekach akademickich z licznymi przeciwnościami bieżącymi.

Jak z tej wypowiedzi wynika, ogólna idea zapewnienia pracownikom nauki oraz studentom dobrego zaplecza czasopiśmienniczego ściera się i wyraźnie przegrywa z niedostatkiem środków na ten cel oraz z biurokratycznymi procedurami, z ustawą o zamówieniach publicznych włącznie. Już nawet rozpoznanie potrzeb w tym zakresie – zmiennych przecież i niekoniecznie klarownie artykułowanych – bywa niełatwe, tak jak i korzystanie z doradztwa ekspertów. Lecz prawdziwe schody pojawiają się w praktyce wykonawczej.

Nie ma bowiem mowy o zapewnieniu wszystkiego, co potrzebne, i nawet reguła zachowania w prenumeracie ciągłości bywa naruszana. Rezygnuje się z dubletów, z tytułów rzadko czytanych – mimo że dla archiwizacji dorobku naukowego nieraz bardzo ważnych – oraz z drukowanych wersji periodyków, na rzecz wariantów elektronicznych. Odwrotnie: nie. Natomiast nie ma w tekście ani słowa o międzybibliotecznej koordynacji prenumeraty czasopism naukowych, więc albo jest to rzadkością, albo w ogóle nie istnieje.

Autorka dopowiada z doświadczenia, że w sensie organizacyjnym niezbędny jest jeszcze ład w relacjach z kolporterami, który trzeba zaprowadzić, oraz rozległa informacja na uczelni o tym, co jest w zasobach czasopiśmienniczych biblioteki do wykorzystania. Jedno i drugie wymagają wysiłku.

Pożytek z racjonalnych wypowiedzi praktyków jest taki, że odnoszą się do konkretnych. Różne koncepcje teoretyczne – na papierze

klarowne – w rzeczywistości często bywają niewykonalne, albo wykonalne częściowo i z najwyższym trudem. No więc trzeba o tym wiedzieć, żeby nie utonąć w bajorze fikcji.

Pozostałe teksty w tym roczniku są niestety kiepskie albo nawet bardzo kiepskie. Nie mówiąc już o tym, że do nauki mają się nijak.

Opis **Ewy Hetman** dokumentowania dorobku pracowników nauki w jednej uczelnianej bibliotece odtwarza zgrzebnie standardowe na ten temat opinie. Sprowadzenie całego postępowania do ocen parametrycznych oraz punktacji autorskich wątpliwości nie budzi, chociaż jest to dewiacja ocen nauki. Ale, jak z tekstu wynika, obowiązek dokumentowania dorobku spoczywa na samych autorach, a nie na bibliotece, która tylko na tym żeruje. No to po co komu biblioteka w tym zakresie? Lepszych i uczynniejszych rozwiązań w sieci jest moc.

Z kolei **Jagoda Małgorzata Nowak** działalność akademickiego bibliotekarza sprowadza do operacji informacyjnych, wspieranych przez komputer. Kto widział bibliotekę na własne oczy, ten wie, że to nieprawda. Dopowiada też, że zmienił się tryb edukacji bibliotekarzy, ale nie wiadomo jak, z jakiego na jaki. No i jeszcze są dyrdymały na temat instytutu inb Uniwersytetu Jagiellońskiego – który obrósł wszak w całkiem przyzwoitą i poważną bibliografię, więc po co komu coś takiego.

Natomiast **Agnieszka Rogalińska** składa biurokratyczne sprawozdanie z egzystencji jednej biblioteki uczelnianej, bez jakiegokolwiek konkluzji. To jedynie sam opis. Jest w Polsce kilkadziesiąt tysięcy bibliotek: wszystkie trzeba opisać w ten sposób?

W roczniku zamieszczono też dwugłos na temat obiegowego wizerunku bibliotekarza – moim zdaniem – zbędny, bo były już setki publikacji na ten temat. **Krystyna Dobija** próbuje odnieść się do obiegowych stereotypów bibliotekarza, ale robi to nieskutecznie i wbrew regułom racjonalnego postępowania, dodając jeszcze (niestety) opisy powieściowych sylwetek bibliotekarek.

Z kolei **Teresa Skibicka** usiłuje wyłowić wizerunek bibliotekarki z popularnych mediów, lecz wywód jest całkowicie nieczytelny, w dodatku okraszony slangiem: *przejrzano, zauważono*. Metodologia analityczna nie istnieje, dokumentacja i argumentacja są żadne, a ogólnik, że nas widzą już z karykaturalnie bądź w kontekście pożytków, był wcześniej artykułowany tysiące razy.

Jest jeszcze artykuł będący próbą wyszukania bibliotekarskich odniesień w międzywojennym czasopiśmie „Przegląd Księgarski”, podjętą przez **Monikę Olczak-Kardas**. Jednak, niestety, chaotyczną i słabo czytelną.

Nie najlepsza jakość tego rocznika smuci, bo wszak edytorem jest czołowy polski ośrodek bibliologiczny. Potwierdza się zatem sugestia, że ta nasza (sub)dyscyplina ugrzęzła w kryzysie. Lecz na tym nie koniec.

Przeprowadzona niedawno akcja punktacji czasopism naukowych, która znokautowała polskie periodyki bibliologiczne, zostanie za kilka lat powtórzona. Trzeba więc będzie powojować o lepsze wyniki. Ale przy kiepskiej jakości dokonań szanse na poprawę reputacji oraz sytuacji są zerowe.

Tekst wpłynął do Redakcji 9 sierpnia 2019 roku.